



**HELENA
SEKUŁA**

**DEMON
Z BAGIENNEGO BORU**

Helena Sekuła

DEMON Z BAGIENNEGO BORU

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-29-6

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

I

Fotografia przedstawiała dojrzałego mężczyznę w okularach; proporcjonalny nos, energiczne usta, kształtny podbródek, wyraźnie zarysowana nad czołem linia jasnych, krótko przyciętych włosów. Nie gładysz. O takim mówią: męski. Na odwrocie zdjęcia skreślono ołówkiem: dwudziesty stycznia tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku. Data urodzenia?

Ta twarz wydała mi się znajoma.

– Spójrz, Bej! – podsunąłem mu fotografię; Bej ma dwadzieścia pięć lat, świeżo ukończone studia, stopień podporucznika i pochodzi z rzutu licznych Bartłomiejów, a gdy przybył do naszego wydziału jako trzeci tego imienia, musieliśmy go przechrzcic. Ofiara mody na zgrzebne, czerstwe jak razowiec miana. Stąd te falangi Maciejów, Tomaszów, Błażejów zaludniające świat. Niemal bez pudła można odgadnąć z jakiego są rocznika.

– Podobny do Kruposza – waha się Bej. – Tylko Kruposz jest szatynem i nie nosił szkieł.

Głównego księgowego zakładów metalowych ze Szczecina Waclawa Kruposza poszukiwano listem gończym, rozpisany przed dwoma miesiącami. Afera banalna, lecz straty poważne, kilka milionów nadużyć. Sprawę maglowała centrala, facet znikł, jakby go nigdy nie było.

– Skąd tutaj jego konterfekt? – Na ulicy Wróblej w Warszawie, w domu z zadęciem do willi zmarł śmiercią gwałtowną Tadeusz Stelmaszczyk, szef firmy posadzkarskiej: układanie, cyklinowanie, lakierowanie parkietów, odświeżanie i czyszczenie wykładzin podłogowych – tyle szyld na parkanie.

– Wypadek! – zawiadomił oficera dyżurnego klient, który przyszedł tam z zamówieniem. Szef posłał nas. W sam raz zajęcie dla praktykanta i nowicjusza, czyli Beja i mnie, dopiero rozpoczynającego samodzielną praktykę kryminalną.

Dom z piętrem w stanie surowym, tylko z wykończonym parterem. Jego połowę zajmował olbrzymi salon urządzony masywnymi meblami. Bogato rzeźbione czarne drewno sprzętów kontrastowało z bielą ścian.

– Zakrystia – rozejrzał się Bej; na długim stole, okolonym dwunastoma krzesłami o wysokich oparciach, stały przedmioty z cyny: misy dzbany, talerze ozdobione reliefami, nabijane miedzią.

Właściciel leżał na podłodze, zniekształconą twarzą zwrócony do ciężkiej kredensowej szafy, pozbawionej górnej części. Głowica z profilowanym gzymsem wieńczącym, mieszcząca w sobie dwie półki zamykane, teraz z rozwartymi drzwiczkami, stała obok na dywanie. Wokół wałały się skorupy rozbitych naczyń.

– Zdjąłem z niego ten segment – wyjaśnił młody wielkolud odziany w szykownie złachmanione farmery. Nazywał się Adam Zapała, plastyk z zawodu. To on zawiadomił o wypadku. Jeszcze poprzedniego dnia umówił się z przedsiębiorcą telefonicznie.

– Kazał mi przyjść przed siódmą rano – wyjaśnił plastyk; koniec lipca, część pracowników firmy na urloпах, grafik zamówień napięty. Każdego dnia przed rozpoczęciem pracy posadzkarze informowali szefa o zaawansowaniu lub zakończeniu zleceń. Przewidywał, że jeden z rzemieślników będzie wolny, tylko trzeba mu pomóc przewieźć ciężką elektryczną cykliniarkę.

Klient przyszedł, jak się umówili. Zastał drzwi otwarte, w domu nikogo. Z początku nie spostrzegł zwłok. Zastaniał je ten wielki stół otoczony krzesłami, stojący na środku salonu. Najpierw zwrócił uwagę na zdekapitowaną kredensową szafę i włączony telewizor, w którym kończyły się właśnie zajęcia dla technikum rolniczego.

Kiedy zobaczył leżącego mężczyznę, podsadził ramię pod nastawkę, uniósł ją i odsunął na bok. Pomoc okazała się spóźniona, facet był zimny. Zapała wyłączył telewizor, świdrujący już sygnałem, i zadzwonił do pogotowia milicyjnego.

– Z pół kubika dębiny spadło mu na głowę – klepnął nastawkę.

– Kodeks Hammurabiego przewidywał kary dla stolarzy? – Bej opukiwał kredens; był wykonany z masywnego drewna, stolarka wyglądała rzetelnie. Ze zwalonej głowicy sterczało dziewięć solidnych bolców, w architrawie znajdowały się ich wklęsłe repliki, dziewięć nawierconych otworów.

– Ściągnął to na siebie? – oglądałem segment; można było sądzić, że Stelmaszczyk wspiął się po coś tam na półkę mieszczącą się pod zwieńczeniem, a straciwszy równowagę, odruchowo przytrzymał się głowicy, ta zaś przechyliła się pod jego ciężarem i runęła wraz z nim.

– W takim wypadku powinny złamać się frontowe bolce – nie zgadzał się Bej.

– Konieczny jest eksperyment – zaznaczyłem swoje prawa zwierzchnika, wprawdzie mianowanego tylko do tej sprawy, ale zawsze, i starszego stopniem – jestem pełnym porucznikiem.

– Przed wejściem do domu nie spostrzegł pan niczego szczególnego? – zająłem się niefortunnym klientem.

– Uszkodzone drzwi – przyznał skwapliwie Zapała; pomyślał nawet, że właśnie są reperowane.

– Uszkodzone! Wyłamane i zerwane zawiasy. A furtka w ogrodzie?

– Była otwarta – stropił się.

– Ma wyrwany zamek.

– Nie przypatrywałem się, wszedłem, bo była uchylona.

Wszystko wskazywało na włamanie. Wprawdzie nie stwierdziliśmy ewidentnych śladów rabunku, ale przecież mogły tu być pieniądze lub cenne przedmioty. I ten wypadek wyglądał podejrzanie, jakby na martwego już lub może tylko ogłuszonego zrzucono ten element szafy.

Bej inteligentnie milczał, natarczywie przyglądał się wielkoludowi.

– Zdjąłem i zaprawiłem faceta tym sarkofagiem – Zapała przejrzał odkrywczą myśl podporucznika Bartłomieja; olbrzym miał wzrost koszykarza, dłuższy ode mnie o głowę, a nie należę do ułomków, i kompleksję zapaśnika.

– Tylko po co, pomyślcie, panowie? – persadował łagodnie jak niebezpiecznym półgłówkom. – A swoją drogą człowiek powinien się mocno zastanowić, zanim spełni tak zwany obywatelski obowiązek. – Zwątpił w możliwość porozumienia się z nami.

– Stelmaszczyk nie mógł sam ściągnąć na siebie tego całego kramu – Bej swoje twierdzenie uzasadniał jakimś tam prawem fizyki. W tej dziedzinie podobnie jak ja nie był mocny, ale braki uzupełniał tupetem.

– Nie jestem cyklopem, pan mnie przecenia – obruszył się nasz koszykarz.

– Czego pan tu jeszcze dotykał?

– Gdybym wiedział, że będę podejrzany, tobym notował.

Weszli technik z fotografem; telefonicznie zażądałem brygady operacyjnej, także „karawanu” z medycyny sądowej. W tym stanie rzeczy konieczna okazała się sekcja.

– Muszę pana zdaktyloskopować – powiedziałem. Zapała nie protestował, wyciągnął przed siebie obie dłonie.

– Wal pan, byle szybko.

– Zabieg niesympatyczny, lecz konieczny – usprawiedliwiał nas Bej.

– Mam do was szczęście! – westchnął Zapała. – Niedawno naraziłem się sierżantowi nadętemu jak ropucha.

– Co mu pan zrobił? – chciał wiedzieć Bej.

- Poradziłem słownik języka polskiego.
- Pamięta pan położenie głowicy kredensu? – przerwałem.
- Nie pamiętam.

Zanotowałem jego personalia i wyprawiłem.

- Musi pan poszukać mniej pechowego przedsiębiorcy – pożegnał go Bej.

Przyłożyliśmy się do oględzin. Trzeba było czym prędzej wyekspediować zwłoki, bo zapowiadał się upał, a pod domem wałkonili się już sanitariusze z anatomopatologii.

Na podwórko wtoczył się fiat combi, wysiadła z niego kobieta.

– Gdzie pan parkuje?! – natarła ostro na szofera ambulansu stojącego przed wejściem i tarasującego wąski podjazd. – Co się stało? – przestraszyła się mundurowego milicjanta, który zagroził jej drogę na progu hallu. – Proszę mnie przepuścić, ja tu pracuję!

Iwona Biedroniówna okazała się jednoosobowym biurem firmy, ba! instytucją. Świetnie utrzymana, elegancka blondynka, w doskonałych szmatkach, jakich próżno by szukać w warszawskich domach towarowych. Liczyła trzydzieści sześć lat, ale to było nader wypielęgnowane trzydzieści sześć lat i nawet z bliska wyglądało na znacznie mniej.

– To jest mój szef, pan Stelmaszczyk! – stwierdziła bez wahania, gdy uchyliłem prześcieradło okrywające nosze; pobladła, ścisnęła dłońmi skronie, na palcach zamigotały pierścionki, po przedramieniu z cichym brzękiem przesunęła się bransoletka z kilku wąskich, złotych kółek.

Przeszliśmy do małego pokoju stanowiącego kantor przedsiębiorstwa: proste biurko, telefon, regał z segregatorami.

– Od wczoraj go nie widziałam... – wyjaśniła; pracuje od ósmej do czwartej, przyjmuje zamówienia klientów, także do niej należy pilnowanie terminów i harmonogramów robót.

– Gdzie jest terminarz? – zaniepokoiła się, nie widząc go na biurku; Bej w drugim kącie pokoju cierpiał obłożony dokumentacją firmy, zgłębiał popstrzony gęsto notatkami kalendarz.

Przedsiębiorstwo zatrudnia sześć osób, pięciu posadzkarzy i jednego pracza wykładzin podłogowych. Na inwentarz składają się: fiat combi, cztery szlifierki elektryczne i jeden kombajn myjący, importowany z Niemiec.

- Kiedy pracownicy przychodzą po zlecenia?

– Rzemieślnicy nie chodzą, tylko pracują! – pouczyła z wyższością; płaci się od metra kwadratowego, po ukończeniu roboty w jednym miejscu, ona lub szef wymierzają i obliczają należność, następnie przewozi się fachowca i sprzęt do kolejnego klienta. Wymieniła adres, gdzie właśnie ukończono cyklowanie, fachowca zaś i narzędzia odtransportowano na nowe miejsce, zgodnie z ustalonym planem.

Solidność i punktualność – oto dewiza firmy. Klient nie lubi czekać, płaci i wymaga, a jeśli niekontent, to obszczekuje firmę na prawo i lewo. Wprawdzie zapotrzebowanie na usługi posadzkarskie jest duże, ale też i konkurencja znaczna.

- Ogłaszamy się w prasie, ale opinię ugruntowują klienci.

- Ilu pracowników jest na urlopie?

– Pracuje komplet – podkreśliła; na urlop idą wszyscy równocześnie. Rozwiązanie najbardziej ekonomiczne, gwarantujące rytmiczność pracy przez cały sezon. Oczywiście nie mogą zamknąć zakładu, kiedy im się podoba, na to otrzymują zezwolenie odnośnego wydziału Rady Narodowej, dbającej, aby nie wszystkie placówki usługowe pauzowały równocześnie. W tym roku urlop mają zaplanowany na sierpień. Tak, rzemieślnicy także otrzymują cztery tygodnie wolnego i wtedy średnią zarobków wypracowaną przez rok.

- Jeden cykliniarz miał tu być dzisiaj rano – konfrontowałem informację Zapały.

– Niemożliwe – zaprzeczyła kategorycznie i jeszcze raz wyliczyła nazwiska robotników oraz adresy, gdzie aktualnie pracowali. – Dziś kończy pan Tolo, ale dopiero około drugiej. Mogę zadzwonić, u tego klienta jest telefon. Przekona się pan!

- Może szef coś zmienił?

– Wykluczone, aby zdjął człowieka z zajętej roboty. Nie praktykuje się, zaręczam.
– Przed siódmą był tu klient.
– Bardzo możliwe, często przychodzą nawet wcześniej.
– On poprzedniego dnia umówił się telefonicznie – wymieniłem nazwisko plastyka.
– Ze mną nie rozmawiał! Może z szefem, tylko dlaczego nie zapisał go w terminarzu? –
Nie, szef nie jest bałaganiarzem, notował wszystkie przyjęte zlecenia. Ona także do godziny czwartej po południu, czyli do końca swoich zajęć, nie miała takiego zgłoszenia. Mur.
Kiedy wychodziła, szefa jeszcze nie było, więc jak zwykle zamknęła biuro, dom i furtkę, po czym odjechała samochodem firmy. Oto są klucze od mieszkania i od wozu.
Zostawiłem ją pod opieką Beja, niech przyjmuje telefony i pomaga mu zgłębić arkana firmowej dokumentacji.

Fotografię Kruposza, wetkniętą w czystą kopertę, znalazłem w jednej z licznych szufladek kabinetu stojącego w rogu salonu. Nie miał nic wspólnego z garniturem mebli z czarnego dębu bardzo świeżej daty. Nawet ja dostrzegłem różnicę, chociaż zupełnie nie znam się na antykach. Jego wartość potwierdzili stolarze zaproszeni w charakterze biegłych, później zaś konserwator z muzeum rozpoznał w nim autentyk świetnego hiszpańskiego *vargueño* z szesnastego wieku, heban zdobiony markieterią z kości i metalu. Jego wartość przekraczała wszelkie wyobrażenia, jakie miałem na ten temat.

Także w *vargueño* znalazłem albumy zapełnione kolorowymi fotografiami. Prezentowały różnorodne przedmioty sztuki: rzeźby, obrazy, miniatury, naczynia, tkaniny. Przy każdym zdjęciu starannie wykaligrafowano objaśnienia: styl, epoka, czasem nazwisko twórcy lub pracownię, z jakiej rzecz pochodziła, rodzaj tworzywa, technikę wykonania, miejsce, gdzie się aktualnie eksponat znajduje. Przeważnie były to muzea, kościoły, ale trafiały się również zbiory prywatne.

Odłożyłem albumy, bo przyjechał biegły-stolarz, który pomagał nam już przy różnych okazjach. Kierowca przywiózł dwóch, właściciela zakładu i jego majstra. Byli dostatecznie dobrymi rzemieślnikami, aby wydać opinie o wytrzymałości kredensu z czarnego dębu.

To była stara kadra, obaj około siedemdziesiątki, każdy blisko pięćdziesiąt lat w zawodzie. Można było ufać, że znają się na swoim rzemiośle.

Mistrzowie w milczeniu obejrzeliby meble, dopiero przy główicy fatalnej szafy rozgorzał krótki, lecz ostry spór.

– Powinno być na fache? – zakwestionował szef.
– Tylko na dybie! – oponował majster, pan Władzio, porównując wymiary otworów nawierconych w architrawie ze średnicą sterczących z krawędzi główicy bolców.
– Na fache!... Na dybie!... – zaperzyli się fachowcy. Jeden drugiemu nie chciał ustąpić. Zagrała ambicja, podniecało zgromadzone, pilnie strzygące uchem audytorium.

Cierpliwie czekałem, aż się wyindyczą, urzeczony niepojętą terminologią. Ani w ząb nie mogłem zgłębić, podobnie jak pozostali, wyższości farchy nad dyblami, mętnie tylko domyślając się, że dybie to te czopy popierane przez pana Władzia, a poddane miażdżącej dezaprobachie szefa.

– Znaczą knot? – wtrąciłem się wreszcie nieśmiało, bo dyskusja nie rokowała rychłego porozumienia.

– Nie! Solidna stolarka – ocenili obaj zgodnie; tamto to był czysto akademicki spór między odrębnymi metodami konstrukcyjnymi i nie dyskwalifikował wykonania tej szafy.
– Nastawka nie miała prawa spaść – zabrzmiał jednogłośny werdykt.
– Błędy kucharza skrywa majonez, lekarza cmentarz, a stolarza? – nie dowierzał Bej.
– Mówisz do starszego cechu, chłopcze! – w ten sposób majster skwitował pomawianie ich o solidarność z anonimowym autorem szafy. Szef nawet nie raczył się odezwać, w ogóle nie zauważał Beja.

– Trzeba założyć nastawkę – zażądał majster.

Unieśliśmy i ulokowaliśmy głowicę na korpusie kredensu. Zgrzytnęły osiadające w łóżyskach bolce.

– Dybie nie mają luzu – z satysfakcją podkreślił pan Władzio.

Obie części mebla dopasowały się idealnie. Fryz osiadł na architrawie, nie pozostawiając najmniejszej szczeliny, szafa sprawiała teraz wrażenie, jakby była z jednej bryły.

– Co pan robi?! – Bej przeszkodził majstrowi w desperackim saltie. Pan Władzio chciał uczepić się zwieńczenia, aby zademonstrować wytrzymałość konstrukcji.

– Niech nam pan nie robi konkurencji – odsunął go technik; z wozu przyniesiono cylindryczny wór o wadze sześćdziesięciu ośmiu kilogramów, dostarczony z komendy na moje żądanie. Tyle ważył nieboszczyk. Obciążona w ten sposób głowica ani drgnęła. Pan Władzio miał rację, preferując dybie, trzymały na mur. A my uzyskaliśmy pewność, że Tadeusz Stelmaszczyk nie ściągnął na siebie tej nastawki.

Wrócił plutonowy, wyprawiony poprzednio po odbitkę listu gończego, zawierającego zarządzenie poszukiwań Kruposza. I chociaż zmieniał go inny kolor włosów i szkła w grubej oprawie, nie mieliśmy wątpliwości, że fotografia znaleziona w kabiniecie z Vargas przedstawia głównego księgowego ze Szczecina. Skąd się wzięła w domu warszawskiego cykliniarza?

– Może to kolega albo krewny? – podpowiadał Bej.

– Dłubiemy dalej czy... – podpuszczałem Beja; ze względu na to zdjęcie sprawę można było podrzucić centrali, z taką przynętą chwyciliby ją bez wahania.

– A ptaszka! – obruszył się Bej i wykonał łobuzerski gest; co by się nie powiedziało o naszych umiejętnościach, na ambicji nam nie zbywało.

– I tak trzeba będzie zameldować szefowi.

– Zdązysz, mam tu coś pilnego do wyjaśnienia. – Pokazał mi zapis w terminarzu szefa firmy: p. 302, godz. 22.00 – widniało w klatce kalendarza Stelmaszczyka pod dzisiejszą datą.

– Pytałeś Biedroniównę?

– Nie pytałem i lepiej nie pytać – zastrzegł Bej. – To mi wygląda na numer pokoju hotelowego i godzinę spotkania z kimś, kto mieszka pod takim numerem!

– Chcesz tam znaleźć Kruposza?

– Chcę się dowiedzieć, z kim umówił się przedsiębiorca, zanim spuszczone mu szafę na głowę. Nie sądzę, aby dotyczyło to cyklinowania czy mycia podłóg.

– Znajomy, z którym umówił się na wódkę – bagatelizowałem małodusznie, bo wzięła mnie zawiść przez to zagarnianie inicjatywy.

– Nie nudź, tylko wystaw tę Iwonę, muszę dorwać się do telefonu – rozkazał; przesadziłem tę Iwonę do klitki koło kuchni i ostentacyjnie poprawiłem brak przezorności Beja, na wszelki wypadek dodając jej do towarzystwa plutonowego. A Bej, ten zarozumialec, skwitował moje taktyczne posunięcie pukaniem w głowę. W żaden sposób nie mogłem wyegzekwować od niego należnego zwierzchnikowi respektu.

– Tu porucznik Oskierko... – Połączył się z oficerem dyżurnym; zaraz musi znać wszystkie warszawskie hotele, w których istnieje pokój numer trzysta dwa. – Bardzo pilne!... kapitan będzie uprzejmy przekazać wiadomość telefonicznie pod numer... – Wielce z siebie rad odłożył słuchawkę.

Kapitan był uprzejmy, po godzinie podał zamówioną informację. Takich hoteli było sześć. Ale żaden recepcjonista nie chciał zawierzyć przewodom telefonicznym tak cennej wiadomości, jak nazwisko i profesja hotelowego gościa, chociaż musiał je znać nie byle kto, lecz sam porucznik Oskierko.

– Upojenie administracyjne. – Bej cisnął słuchawkę.

– Odźwierni to skrzyżowanie chama z buldogiem – dorzuciłem do jego cytatu z Dostojewskiego. Bej często i z upodobaniem posługiwał się cytatami. – Bierz wóz i zajrzyj do tych hoteli. – Przestałem się na niego bocyć, ten szczegół należało sprawdzić.

Oczekując na efekty Bejowej misji, sięgnąłem po jeden z albumów. Prezentował antyczne naczynia. Teraz bez pośpiechu mogłem przyjrzeć się fotografiom. To były dobre artystyczne zdjęcia, większość przedmiotów przedstawiono na nich w różnych ujęciach. Wyraziście odzwierciedlały kształt, zbliżenie rytów, osadzenie kamieni, wpojonych w metal kolorowych, drobnutkich gładzisz, tworzących ornament.

...akwamanila, kielich późnogotycki, meluzyna, roztruchan, ryton, świecznik przyścienny... filigran, puklowanie, granulowanie, technika niello, emalia, aplikacja, kaboszon, rocaille... Muzeum... muzeum, zbiory prywatne. Zaginiony, nie figuruje w spisach... eksponat zaginiony w czasie wojny – wiele zdjęć miało takie podpisy.

Ten zbiór nie podlegał żadnej kompozycji, przeplatały się style, odległe epoki sąsiadowały ze sobą. Przemieszane były rodzaje technik złotniczych. Nawet porządek alfabetyczny nie miał tu zastosowania. Nagromadzenie fotografii dzieł sztuki, bardzo pięknych, rzadkich, wartościowych i tyle.

Kolejne strony: tak zwane srebra podkanclerskie – przeczytałem podpis. Ta nazwa wydała mi się nieobca, gdzieś ją musiałem słyszeć, ale przy jakiej okazji?

Muzeum regionalne w Brożanach – podpowiadało objaśnienie. Nigdy nie byłem w muzeum regionalnym w Brożanach, w ogóle nie miałem pojęcia, gdzie leżą te Brożany.

Przyglądałem się dokładnie odfotografowanym naczyniom zbioru podkanclerskiego. Jakieś dzbanuszki, mała wazka, większa wazka, coś na modłę sosjerki, kafetiera, półmisek w kształcie elipsy z frymuśnie powycinanymi brzegami. Razem czterdzieści osiem sztuk. Wszystkie zdobione reliefami przypominającymi asymetrycznie powyginane wstęgi, miejscami przekształcające się na podobieństwo muszli, gdzie indziej przypominające strzępiaste grzebienie.

Wszystkie zdjęcia sreber miały w rogu znak plus. Takie znaki zauważyłem także na innych, niektóre zaś odciskano kółkiem lub literą V, czyli zwyczajnym ptaszkiem. Ktoś oznaczył je niebieskim długopisem.

Bej ze swojej ekspedycji przywiózł równo pół tuzina nazwisk: Syrena – technolog huty z Katowic, hotel Warszawa – dyrektor z Zielonej Góry, Polonia – aktorka z Poznania, Metropol – japoński przemysłowiec, Forum – francuski przedstawiciel handlowy, Grand na Kruczej – rodak z Chicago.

– Cholera! Nie sądziłem, że wszystkie te trzysta dwa będą zajęte! – biadał Bej – i żaden z tych gości dzisiaj nie wyjeżdża.

– W hotelach zawsze jest pełno – pouczyłem go o życiu.

– No i co my teraz zrobimy? – Bej, żywe srebro, kipiący od pomysłów, jak zwykle nie rozważył sprawy do końca. Teraz nadmiar nazwisk, wśród których należało bezbłędnie trafić na to właściwe, odebrał mu rozpęd.

– A czego się spodziewałeś, jedyne go faceta, właśnie tego od Stelmaszczyka?

– Ale przecież nie sześciu osób! – denerwował się Bej.

– Wybór między dwiema byłby tak samo trudny.

– Japończyka i Francuza można wyeliminować – na oślep szukał wyjścia Bej.

– A czym gorszy ziomek z Chicago? Zamykamy kram, wracamy do komendy.

Zadzwoń, niech przyślą tutaj jakąś dziewczynę, podyżuruje z plutonowym. Później coś się wymyśli, aby ich zmienić.

Od dobrej chwili zawodził telefon, przesadzona do klitki przy kuchni Biedroniówna nie wytrzymała.

– Odbiorę? – Z bolesciwą miną, jakby miała fluksję, zatrzymała się w drzwiach kantoru. Cierpiała! Najwyraźniej w cichości ducha liczyła bezpowrotnie tracone złotówki. Zrozumiała, ona nie brała pensji, była na procencie, za tym dzwonkiem przeczuwała klienta.

– Proszę. – Przepuściłem ją do aparatu. – Tylko żadnych wzmianek o wypadku.

– Już mi pan raz to mówił – burknęła. – Niech pan posłucha! – Daleko odstawiła słuchawkę od ucha. Mikrofon pluł, porykiwał, kłął szpetnie i groził. Na drugim końcu przewodu szalał pan Tolo, który od godziny bezskutecznie oczekiwał na przewiezienie do następnej roboty. Widocznie też przeliczał tracony czas na metry kwadratowe i czuł, jak mu z kieszeni wyjmują pieniądze. Ten rozbój wprawiał go we wściekłość. Zakryła dłonią słuchawkę:

– Muszę po niego pojechać!

– Proszę powiedzieć, że zepsuł się combi.

– Szef ma jeszcze osobowy – przypomniała przytomnie.

– Szefa nie ma, combi reperują, niech złapie taksówkę i przewiezie maszynę na koszt firmy – zarządziłem. Przekazała słowo w słowo, słuchawka przestała wrzeszczeć.

– Przecież na dłuższą metę i tak pan nie ukryje śmierci szefa – zauważyła.

– Wystarczy mi dzisiejszy dzień.

– I po co to wszystko, przecież ja mogłam pojechać.

– Pani jest potrzebna na miejscu.

– Pan mi nie ufa, ale o czwartej i tak mnie pan musi puścić – Ostrożnie badała moje zamiary.

Nie puściłem pani Iwony o czwartej. Była mi potrzebna do urzeczywistnienia planu rozpoznania umówionej na dzisiaj ze Stelmaszczykiem osoby – i jeśli w ogóle ten zamiar miał się powieść, udział Biedroniówny był nieodzowny.

– Liczę na pani pomoc. – Gdy dowiedziała się, że zabieram ją ze sobą, ze strachu wpadła w złość. Nigdzie nie pojedzie, co do niej mam? Nie życzy sobie, aby ją mieszano w jakieś milicyjne przedsięwzięcia, nie ma takiego prawa! A w ogóle to jest umówiona, musi przynajmniej zadzwonić, aby się usprawiedliwić.

Miałem niejasne podejrzenie, że ten cały atak był po to, aby wymusić na mnie zezwolenie zatelefonowania do kogoś. To znaczy, mimo niefrasobliwości Beja, ona nie miała okazji lub odwagi, co na jedno wychodzi, porozumieć się z miastem bez naszej zgody.

– Pani szefa zamordowano. – Nie powiedziałem jej tego dotychczas i nie zastanawiałem się, czy ona domyśla się, jak jest naprawdę. Ale przecież to i owo musiała dostrzec, będąc przez tyle czasu razem z nami.

Przestała domagać się telefonu, nie zapytała o nic, ale uderzyła ją ta wiadomość. Już bez protestów wsiadła z nami do samochodu, przez całą drogę nie odezwała się ani słowem.

– Masz zamiar posłużyć się Biedroniówną? – zapytał Bej, gdy roztasowaliśmy się w swoim pokoju. Zamysł był prosty i oczywiście dość ryzykowny, lecz na inny nie było czasu ani środków.

Głos Iwony Biedroniówny ludzie mający kontakt z firmą znają, w każdym razie na pewno wiedzą, że biuro Stelmaszczyka prowadzi kobieta. Jej telefon nie wywoła więc podejrzeń. Zatem niech próbuje porozumieć się z gośćmi hotelowymi zajmującymi numery trzysta dwa.

Co ma mówić? Zapisana w terminarzu godzina to niewątpliwie termin spotkania, ale gdzie? U Stelmaszczyka, w hotelu czy w innym uprzednio umówionym miejscu?

– Niech zawiadamia tylko o przesunięciu czasu, powiedzmy, o pół godziny – zaproponował Bej.

– Staramy się o wywiadowców? – Nigdy nie wiadomo, co może się trafić w trakcie wstępnej obserwacji: kontakty, adresy. Należało zabezpieczyć się na różne ewentualności.

– O wywiadowców? – z ociąganiem powtórzył Bej; on także nie miał chęci na włączenie do naszego planu facetów z tej służby. I nie chodziło w tym wypadku o względy ambicjonalne, uruchomienie wywiadowców wymagało akceptacji szefa. Było już dawno po godzinach pracy i w ten afrykański upał on z pewnością moczył teraz kij nad Zalewem Zegrzyńskim, gdzie ma letni slums, ergo domek kempingowy.

– Wyciągać go z kałuży. – Ta myśl brzydziła Beja podobnie jak mnie. A do tego te wszystkie: trzeba było, dlaczego nie zawiadomiłeś, takich pełnomocnictw ci nie dałem! Jednym słowem piłowanie.

– Sami załatwimy. – Tu byliśmy z Bejem zgodni.

Z dyżurnym komendy poszło jak zwykle gładko, a nasze wymagania były skromne: ma sprawdzić i zawiadomić nas, czy mieszkańcy numerów trzysta dwa są u siebie.

Teraz pani Iwona. Przedstawiłem jej zadanie w punktach. A. mówi dzień dobry, B. potwierdza nazwisko rozmówcy, C. nadaje właściwy tekst: – Tu mówi sekretarka pana Stelmaszczyka – wyakcentować – mój szef bardzo przeprasza, prosi o przesunięcie godziny spotkania na wpół do jedenastej.

Nie była zachwycona, chociaż starała się nie okazywać mi niechęci. Wtedy myślałem, że to z powodu jej wysublimowanego poczucia etyki.

– Nie wolno pani zmienić ani jednego słowa – uprzedziłem; przysunąłem do siebie pomocniczą słuchawkę podłączoną do aparatu, z którego miała rozmawiać.

– Indiańskie podchody – uśmiechnęła się niespodziewanie uśmiechem przeznaczonym chyba dla najlepszej klienteli firmy.

Pierwszy na rozkładzie znalazł się Grand Hotel na Kruczej. Rodak z Chicago wyraźnie się nudził. Nie, nie znał pana Stelmaszczyka, to zapewne pomyłka, ale z panią o tak uroczym głosie gotów spotkać się choćby zaraz. Może w barze, na dole? Będzie nosił bordową muszkę w białe grochy.

Pani Iwona wyraźnie roztajała, lecz nie wdała się w nieplanowaną konwersację, chociaż zdaje się miała na to wyraźną ochotę. Melodyjne „do widzenia” zagruchała jak Irena Eichlerówna.

A jeśli to ona miała się porozumieć z tą osobą, a nie Stelmaszczyk? – dopadła mnie spóźniona refleksja. – No to kłapa naszej wspaniałej inicjatywy.

Następny hotel: Warszawa – dyrektor z Zielonej Góry był rzeczowy. Pomyłka, nie zna nikogo o takim nazwisku.

Metropol. Japoński przemysłowiec powiedział: – Za chwile, moja tłumacza! – I zaraz słuchawkę opanował męski głos mówiący dobrze po polsku.

– Pomyłka, proszę pani, wśród klientów pana Kimosawy nie ma nikogo o takim nazwisku. Z całą pewnością, panią chyba źle połączono!

Forum – monsieur Gerard de Villefort, francuski przedstawiciel handlowy Berlieta, przy telefonie hostessa.

– Dziękuję, przekażę panu de Villefortowi. Będzie na spotkaniu o dwudziestej drugiej trzydzieści.

Nie, tegośmy się obaj nie spodziewali. Stawiałem raczej na rodaka z Chicago, Bej typował dyrektora z Zielonej Góry, bo w zakładzie tej samej branży nakradł Kruposz.

– Może zwyczajnie pójść i pogadać z Villefortem? To poważny facet. – Ogarnęły mnie wątpliwości.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI